

KAROLINA ŻYNDĄ

Black #2

BLACK
Thorns

Był gotowy zrobić dla niej wszystko. Wszystko.



Copyright ©
Karolina Żynda
Wydawnictwo NieZwykłe
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja:

Anna Łakuta

Korekta:

Karina Przybylik

Karolina Piekarska

Maria Klimek

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Autor ilustracji:

Marta Michniewicz

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-663-9

KAROLINA ŻYNDĄ

BLACK THORNS

BLACK #2

OŚWIĘCIM 2023

DEDYKACJA

*Dla mojej mamy, która twierdzi, że każdy człowiek ma to,
na co się odważy*

WSPARCIE DLA OSÓB W KRYZYSIE PSYCHICZNYM

Całodobowa Linia Wsparcia tel. 800 70 2222

Telefon zaufania dla osób dorosłych w kryzysie emocjonalnym tel. 116 123

**Bezpłatna linia wsparcia dla osób po stracie bliskich tel.
800 108 108**

Całodobowa bezpłatna infolinia dla dzieci, młodzieży, rodziców i nauczycieli tel. 800 080 222

PROLOG

Axel

Dziesięć lat wcześniej...

To była jakaś pierdolona farsa.

Czemu w ogóle się na to zgodziłem? Nie zależało mi na aprobacie ojca. Już nie. Od czasu, gdy matka podcięła sobie żyły, ledwo byłem w stanie znieść widok jego zarozumiałej mordy. Prawdę mówiąc, ledwo byłem w stanie cokolwiek znieść. Miałem wrażenie, że moje życie przypomina te sceny z kreskówek, gdzie bohater wisi na linie, która z każdą chwilą rwie się coraz mocniej, aż w końcu wisi jedynie na cienkiej nitce. To była idealna metafora obrazująca mój obecny stan. Wisiałem na nitce i niewiele brakowało, by pękła, a ja runąłbym w przepaść.

A jednak zgodziłem się pójść na to głupie przyjęcie dobroczynne tylko dlatego, że miał być tam dziadek. Dla niego też przyjechałem do Nowego Jorku. Był jedyną osobą w tym mieście, którą chciałem oglądać, i jedyną namiastką rodziny, jaka mi pozostała. A on niestety nie młodził z każdym kolejnym rokiem. Myśl, że miałbym stracić też jego, cholernie mnie paraliżowała. Chociaż przypominałem ostatnio cień człowieka i choć niewiele dzieliło mnie od utraty kontroli, nie mogłem zrezygnować z żadnej chwili, która mi pozostała.

Niestety ta decyzja zmusiła mnie do wystawiania się na słowne ataki Travisa. Z każdą kolejną zaczepką gotowałem się w środku coraz mocniej. Teoretycznie nie obchodziły mnie jego słowa, ale skurczybyk doskonale wiedział, gdzie uderzyć, żeby

zabolało. W dodatku uwielbiał krytykować moją matkę, nawet teraz, gdy już nie żyła. Ewidentnie nie wziął sobie do serca zasady o niemówieniu źle o zmarłych.

Stał teraz w mojej sypialni, która była tak naprawdę tylko pokojem dla gości. Odwiedzałem go od lat, ale nigdy nie zrobił nic, bym poczuł się tu swobodnie. Nie pozwolił za to, abym zapomniał, że to nie jest mój dom i nigdy nie będzie. Wparował tu bez pukania, od wejścia mierząc mnie krytycznym wzrokiem. Błagałem w myślach, by nic nie mówił. Byłem tak kurewsko zmęczony. Najmniejszy cios mógł złamać mnie jak wysuszony listek. Ale los nigdy mnie nie słuchał.

– No chyba sobie kpisz – powiedział, wykrzywiając się z obrzydzeniem. Miałem na sobie ten dumny garnitur, który kupiła mi Eliza specjalnie na tę okazję. Czułem się w nim jak krety, ale chyba leżał dobrze. Nie żebym się na tym specjalnie znał. Nie byłem moim bratem, który był tak sztywny i przykładowy, że wyglądał, jakby urodził się garniturze. – Chodzi mi o te cudaczne paznokcie – wycedził, gdy zauważył, że go nie rozumiem.

No tak. Zupełnie o tym zapomniałem. Moje paznokcie były pomalowane czarnym lakierem, który już poodpryskiwał w niektórych miejscach.

– Co z nimi nie tak? – zapytałem zdezorientowany.

Nie powinienem go prowokować, ale to było silniejsze ode mnie.

– Czemu mnie w ogóle jeszcze dziwi, że zadajesz tak durne pytania? – Wzniósł oczy do sufitu. – Zawsze byłeś tylko rozczarowaniem. Nie wiem, jak mam się z tobą pokazać przy ludziach. Przyniesiesz mi tylko wstyd. Nie dość, że wyglądasz, jakbyś wyskoczył z marginesu społecznego, to i intelektem nie możesz zabłysnąć. Spójrz na Connora. Jest od ciebie dużo młodszy, a już wie, gdzie chce iść na studia. Jest ambitny. Podjął się nawet stażu w firmie. A ty? Tylko bazgrzesz w tym swoim zeszytcie. – To może bym jeszcze zniósł. Słuchanie go przypominało sypanie

soli na niezagojone rany. Ale on postanowił, że to nie wystarczy. Wbił w nie paznokcie, szarpiąc, aż obdarł wszystko do gołej kości. – Zawsze wiedziałem, że nie wyrosnie z ciebie nic dobrego. Nie z taką matką. – Skrzywił się przy ostatnich słowach z odrazą i pogardą.

Zacisnąłem dłonie w pięści. Nie mogłem uwierzyć, że obraża ją nawet tego dnia. Równo w pierwszą rocznicę jej śmierci. Choć nie byłem pewien, czy w ogóle o tym pamięta. Ale ja pamiętałem. I nie mogłem słuchać kolejnych obleg. Nie dzisiaj.

– Skończ w końcu obrażać moją matkę! – wrzasnąłem. – Ona nie żyje! I to przez ciebie!

I przeze mnie. Bo ją zostawiłem, żeby przyjechać do ciebie.

Travis tylko się zaśmiał.

– Przeze mnie? – wykrztusił z uśmiechem. – Chyba sobie żartujesz. Grace była wariatką. A patrząc na twoje poharatane łapy, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Zamarłem. Dyszałem ciężko, czując, że coraz mniej dzieli mnie od rozlecenia się na kawałki. Od roku próbowałem się posklejać, ale ciągle upadałem i roztrzaskiwałem się na nowo. Elementy, które łątałem, stawały się coraz mniejsze i bardziej kruche i coraz trudniej było złożyć je w sensowną całość.

– Moja matka wcale nie była wariatką! – wycodziłem przez zęby. Cały dygotałem. – Kochała cię, a ty ją tylko wykorzystałeś! Czekala na ciebie przez całe życie!

Wiedziałem, że po części miał rację. To, co wyprawiała czasem matka, było dalekie od normalności. Ale czasem ludzie szaleją z miłości. A ona nigdy nie pogodziła się z jego odejściem.

– Kochała mnie? – zadrwił. – Niezłą ci musiała wcisnąć bajeczkę. Spotkaliśmy się tylko raz.

Zmarszczyłem brwi.

– Jak to raz?

Mama zawsze mówiła, że jej relacja z ojcem była przelotnym romanssem. Nie ukrywała tego. Twierdziła, że zakochała się od

pierwszego wejrzenia, ale ojciec po urlopie w Irlandii szybko wrócił do Ameryki. Dopiero później dowiedziała się o ciąży i jakimś cudem go odnalazła tylko po to, by dowiedzieć się, że miał narzeczoną.

– Ty naprawdę nie masz pojęcia, co? – kpił. Miałem wrażenie, że ta rozmowa sprawiała mu satysfakcję. Uśmiechnął się z politowaniem i kontynuował. – Twoja matka była nie tylko wariatką, ale i dziwką. Była zwykłą, przeciętną kurwą.

Zbladłem. Chyba przestałem oddychać. Musiał kłamać.

– Kłamiesz – wyszeptalem.

Ojciec prychnął.

– Uwierz mi, chciałbym. Wiele razy żałowałem, że w ogóle pojechałem na ten przekłety wieczór kawalerski – powiedział, kręcąc głową. – Ale pojechałem. Mój przyjaciel uparł się, żeby urządzić go w rodzimym kraju. Tak się składa, że urządził przyjęcie z prawdziwą pompą. Wynajął nawet dziwki, w tym twoją matkę.

Patrzyłem na twarz ojca, szukając oznak kłamstwa, ale widniała na niej tylko czysta pogarda i kpina. Jeszcze mocniej ścisnąłem dłonie, aż paznokcie wbiły mi się w skórę. Chciałem mu przywalić, ale nie miałem na to siły. Czułem, że zaraz zupełnie się rozpadnę. Na jego oczach. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Byłem zupełnie oniemiały.

Ojciec patrzył przez chwilę w moją wyrażającą zakłopotanie twarz. Może mi się wydawało, a może naprawdę kąciki jego ust uniosły się nieznacznie, jakby torturowanie mnie przyniosło mu chorą przyjemność. Zaczął się wycofywać w stronę drzwi.

– Zmyj to cholerstwo z paznokci – powiedział na odchodne.

– Za pięć minut wyjeżdżamy.

Przełknąłem ślinę, by nieco rozluźnić ściśnięte do bólu gardło.

– Nigdzie nie jadę – wykrztusiłem z niemalym trudem.

Byłem wściekły, że tak drżał mi głos.

– Nawet lepiej.

Zamknął za sobą cicho drzwi. Wsluchiwałem się w stukanie jego butów o marmurową posadzkę, którą wyłożony był korytarz. Nie mogłem się ruszyć. Oddychałem coraz szybciej.

Jestem taki słaby.

Jestem rozczarowaniem.

A moja matka była zwykłą prostytutką.

Nie wiedziałem, co mam o tym wszystkim myśleć. Nie patrzyłem na nią inaczej. Wciąż była tą samą matką i niezwykle złamaną kobietą. Ale czułem się oszukany, jakby całe moje życie było kłamstwem. Stałem w miejscu niczym posąg, aż usłyszałem kroki w korytarzu i głośny śmiech Elizy, któremu wtórował Connor. Po chwili do moich uszu dotarł dźwięk trzaśnięcia drzwiami. Idealna rodzinka opuściła dom. A ja zostałem zupełnie sam. Mijały minuty, a z każdą chwilą czułem się coraz bardziej wykończony i pusty. Mogłem po prostu chwycić za żyłkę. Ale to by nie wystarczyło. Nic nie mogło wypełnić dziury, która zionęła w mojej piersi.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Jak w transie wyszedłem na korytarz. Szedłem prosto do gabinetu ojca, do którego nigdy nie wolno było mi wchodzić. Wiedziałem, że trzyma tam kluczyki do swojego ulubionego samochodu. Było to zupełnie nowiutkie, błyszczące, sportowe auto, które pasowało do jego aroganckiego stylu bycia. Drżącymi palcami otworzyłem drzwi. Omiotłem spojrzeniem chłodne pomieszczenie i podszedłem prosto do szerokiego, szklanego biurka z widokiem na panoramę Central Parku. Właśnie tam, na metalowym haczyku wisiały klucze. Chwyciłem je i udałem się jeszcze do barku. Przyjrzałem się butelkom. Zupełnie nie znałem się na tych drogich gównach, więc chwyciłem butelkę z bursztynowym płynem, która wyglądała mi na drogą.

Nie byłem w stanie o niczym myśleć, kiedy zjeżdżałem windą do podziemnego garażu. A jednocześnie moja głowa zdawała się pracować na najwyższych obrotach. Chciałem, żeby wresz-

cie, kurwa, zamilkła. Chciałem w końcu przestać tyle czuć. To było zbyt wiele. Nie zostało we mnie już nic, co byłoby w stanie utrzymać mnie w całości. Nie było już, czego sklejać. Od dawna czułem, że zbliżam się niebezpiecznie blisko krawędzi, że zacynam się poddawać, ale udawało mi się efektywnie odpychać to uczucie. Tyle że tym razem uderzyło we mnie jak obuchem, gdy nie byłem wystarczająco silny, by się bronić.

Wsiadłem do tego głupiego, niskiego samochodu. Moje nozdrza wypełnił zapach nowiutkiej skóry. Silnik zawarczał wściekle. Nie myślałem zbyt wiele. Wyjechałem na ulicę, z każdym metrem rozpędzając się coraz bardziej. Jak wariat omijałem samochody. Moja noga dociskała gaz, a ręka sięgnęła na siedzenie po butelkę. Odkręciłem ją ustami i upiłem łyk. I kolejny. I kolejny. Ledwo zarejestrowałem, że mam mokre policzki. Nie do końca rozumiałem dlaczego, bo w środku czułem się już zupełnie odrętwiały. Pomagał w tym alkohol, który zaczął już krążyć w moich żyłach.

Kierowałem się w stronę firmy Trvisa. Nie miałem zamiaru nigdy więcej nazywać go ojcem. Nie żebym miał jeszcze okazję. Zamierzałem rozwalić jego drogocenny samochód prosto o budynek jego ukochanej firmy. To miał być jego ostatni prezent od syna bękarta. Syna zwykłej prostytutki, którą zawsze uważał za śmiecia. Gardził nią w takim stopniu, że nie mógł się powstrzymać od ubliżania jej nawet w rocznicę śmierci. Pomyślałem, że było coś pięknego w tym, że mieliśmy umrzeć tego samego dnia. Mogli mnie pochować w tym samym miejscu, nie zmieniając nawet daty zgonu. Wystarczyło dopisać rok i imię.

Radio huczało zbyt wściekle. Leciała z niego jakaś durna popowa piosenka. Trochę żałowałem, że nie miałem przy sobie jednej z ulubionych płyt. Queen by się nadawał. Nie ma lepszej piosenki do pożegnania się z tym światem niż *Bohemian Rhapsody*. Nie miałem pojęcia, dlaczego o tym myślałem. Ale ten jazgot cholernie mi przeszkadzał. Włożyłem butelkę między uda i na-

chyliłem się, żeby wyłączyć radio. Spojrzałem na milion przycisków, aż zlokalizowałem odpowiedni. Kiedy moje palce dotknęły pokrętki do regulowania głośności butelka przekrzywiła się wylewając się na moje spodnie. Spojrzałem w dół, żeby ją złapać. To był odruch. Ręka trzymana na kierownicy mimowolnie mi się omsknęła. Gwałtownie szarpnąłem kierownicą. Samochodem rzuciło. Staralem się to opanować, ale było za późno.

Miałem nigdy nie dojechać do firmy ojca.

Miałem umrzeć tutaj. W zasadzie nie miało to większego znaczenia. Puściłem kierownicę, czekając, aż nastanie błoga ciemność.

Kurwa, przeżyłem.

Z trudem otworzyłem oczy. Nic nie czułem, przynajmniej na początku. Zaraz jednak moja głowa zaczęła pulsować tak wielkim bólem, że mimowolnie się skrzywiłem, potęgując to uczucie. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że wisiałem do góry nogami, a z mojej głowy kapała krew. Teraz bolało mnie już wszystko. Usłyszałem głośne wycie syren. Rozejrzałem się po ulicy. Kawałek dalej leżał drugi samochód. Jego bok był wgnieciony. Nie wiedziałem do końca, jak to się stało ani jak w niego uderzyłem. Jedno było pewne. Nie osiągnąłem swojego celu. Wciąż żyłem. Za to mężczyzna, który leżał w kałuży krwi i milionie odłamków szkła, z pewnością nie. Jego ciało było powyginane w bardzo nienaturalny sposób. Musiał jechać bez pasów, bo wyleciał przez szybę. Jego szary garnitur zabarwił się czerwienią wydobywającą się spod jego głowy. Było jej tak cholernie dużo. Nie dotarło to do mnie od razu.

Właśnie kogoś zabiłem.